

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA

(Powieść współczesna).

12)

To podejrzenie podrzuciło całemu jej ciałem. Zaciśnięta piersi w nagłym porwywie zazdrości.

— Dałabym ja jej!.. Ja ślubna żona!.. Ja matka jego dzieci!.. Ale nie... to chyba niemożliwe!.. Antoś przecie taki dobry był... taki troskliwy... a dzieci kocha, szczególnie za Krzyśką... to już po prostu przepada!.. Tylko ci nowi przyjaciele, co na jego kieszeni dybią — po restauracjach go różnych prowadzą i od żony i od domu odciągają... A najgorszy to już ten gazeciarz kudłaty... Nierazby mu prawdę w oczy wypaliła, tylko że nie śmie, bo z natury cicha jest, potulna i klócić się nie bardzo umie... A zawsze to „pan redaktor”... Pije jak smok i Antosia do picia przyzwyczaja!.. Tego dawniej także nigdy nie bywało.

Zgrzyt klucza obracanego w zamku... potem kroki męskie w przedpokoju... W Bąblowej szarpnęło się serce radością!.. Antoś wrócił... nareszcie!.. tak się ucieszyła, że o gniewie zapomniała.

— Antoś!..

Babel wszedł do sypialni. Biła od niego drażniąca woń jakichś mocnych perfum, zmieszana z odorem alkoholu.

— Dlaczego nie śpisz jeszcze? — burknął.

— Nie mogłam usnąć. Czekalam na ciebie.

— Także potrzebnie! Żebyś nie mógł przyjść do domu, kiedy mi się podoba!..

— Albo to nie przychodzisz, kiedy ci się podoba?.. Po całych dniach i nocach cię niema!.. A czego ty tak pachniesz, jakbyś... jakbyś... — chciała powiedzieć: „jakbyś od kobiety wracał”, ale zlekka się tych słów.

— A cóż to, brakuje mi perfum — czy co?.. — mruknął, zaczynając się rozbierać.

— Tyś się dawniej nigdy nie perfumował...

— No to dawniej nie! a teraz tak!.. U ciebie zawsze dawniej... dawniej na języku!.. Nie możesz tego zrozumieć, że my należymy teraz do *enteligeny*!.. To jest ja należę, bo ty...

Lekceważąco machnął ręką.

— I piłeś znowu...

— Dajże mi ty święty spokój!.. pod kontrolą jestem, czy co? — podniósł głos o kilka tonów.

— Ciszej mów!.. Krzysię obudziła!.. Ona się już i tak budziła... O tatusia pytała...

Wiedziała Franka, czem najłatwiej trafić do serca mężowi... Babel złagodniał od razu, uśmiechnął się pocziwie, podszedł do łóżeczka córki i pochylił się nad niem. Dziewczynka wtulona w poduszkę, z główką tonącą w gęstwie pływających loków — spała spokojnie... Różowe jej usteczka lekko były rozchylone...

Ojciec okrył ją troskliwie kolderką, która zsunęła się nieco — poczem przyłożył delikatnie usta do małej rączyny, podłożonej pod różową buzię.

— Maleństwo moje... dzidzi kochane... — szepnął i dziwnie jakoś przykro mu się zrobiło na przypomnienie, że on teraz prawie nie widuje tej swojej ukochanej dziewczynki.

— Żebyś ty wiedział, jaka ona mądra... wszystkie litery już zna... i układa sobie tafa... mama... baba... wnet czytać będzie dobrze...

— Naprawdę? — ucieszył się Babel — musi mi jutro przeczytać... Patrzcie! jaka to główka, jak makówka!.. Moja córka!..

— Przyjdiesz jutro aby na obiad — rzuciła pospiesznie Franka.

— Przyjdę... przyjdę... A chłopcy jak się tam sprawowali?..

— Broili, jak to oni!.. Stefek Władkowi podbił oko...

— A to wisus!.. Trzeba mu będzie skóry przetrzepać... Niech się nie bije!..

— O! jak chłopak — to do bitki skory!.. A jak mu ślicznie w tej czapce ułańskiej z tą szabelką coś mu kupi!.. Jak zacznie maszerować, komenderować — to powiadam ci, niby generał!..

Ojciec rozpromienił się znowu.

— Zuch — smyk, co?.. Moja krew!.. Może i zostanie generałem, pewnie nawet zostanie...

Atmosfera małżeńska, burzliwa z początku, roz pogodziła się... Bąblowie rozmawiali teraz z sobą po przyjacielsku, jak dwoje ludzi, doskonale się rozumiejących i serdecznie żyjących ze sobą.

Franka uspokojona zupełnie, zaczęła szukać w myśli, czemu tu jeszcze mężowi dogodzić i w jak najlepszy humor go wprowadzić. I wydało się jej, że znalazła.

— Antoś, tyś pewnie głodny... Zostawiłam dla ciebie kolację... Są szynclie cielece i szarlotka z jabłek, taka, jak ty lubisz... zaraz ci podam.

Ta wzmianka o cielecych i szarlotce porytowała człowieka, przesyconego pikantnymi potrawami i alkoholem i sepsowała serdeczne wrażenie, wywołane rozmową o dzieciach.

— Nie zwracaj mi głowy szynclami... Nie chce mi się jeść...

— Takie pyszne szynclie... I szarlotka... Skosztuj tylko... — odrzucała już koldrę, chcąc wstać z łóżka i przynieść mu jedzenie.

Leż i zostaw mnie w spokoju!.. Nudnaś jak flaki z olejem z twoją kolacją!..

— Bo ty nigdy teraz nic w domu... — zaczęła płaczliwie.

— Przestańże już skrzeczeć!..

Rozebrał się i położył do łóżka, zapaliwszy przedtem papierosa.

— Antoś!.. nie gniewajże się!.. Ja przecie tylko tak z dobrego serca!.. — wyciągnęła ku mężowi chude ramiona w rękawach nocnej koszuli.

— Dobrze!.. dobrze!.. — rzucił wypalonego papierosa i naciągnął koldrę na uszy.

Oczy Bąblowej wezbrały znowu potokiem łez.

— Ty teraz to mi już nawet dobrego słowa nie dasz... Jak ten cudzy człowiek... jak ten wróg... Antoś!..

Podniósł głowę i spojrzał na żonę, wzruszony żalosną skargą, drgającą w jej głosie... I już... już zamierzał przytulić ją w serdecznym uścisku do piersi, gdy w tem obok tej miśznej, zwiedłej kobiecie z wydłużoną, kościstą twarzą, a wybladłych oczach i cienkich włosach bez połysku — zamajaczył mu obraz inny, kuszący... — kwitnąca dziewczyna o wspaniale rozwiniętych kształtach, z podaną naprzód wysoką, krągłą piersią — purpurowo-złota, świecąca blaskiem kocich źrenic i szkarłatem pełnych, zmysłowych warg... Elegancka, wonna — i „artystka”... Cóż przy niej taka Franka?..

— Czego ci się zachciwa znowu? — sarknął — śpij i daj mnie spać... Na czułość ja wzięto...

— Ant... — nie dokończyła, bo ją łzy zdławiły za gardło. Łzy rozżalenia bezmiernego i palącej nienawiści, która w niej nagle wezbrała do tego czegoś nieznanego a groźnego, co stało się pomiędzy nią a mężem.

— Czy to kobieta?.. czy to kobieta?.. Dałabym ja jej!.. dała!..

Zaciśnięta zęby, aż zgrzytnęły. Babel tymczasem nakrył się koldrą i znużony, rozmazany alkoholem — w jednej chwili usnął. Po kilku minutach chrapał już na dobre... Franka nie kładła się jeszcze... Zbudzone podejrzenie nurtowało ją zbyt silnie i pobudzało myśl do pracy... Chciała zdobyć pewność... dowiedzieć się...

Upewniona, że mąż śpi twardo — po cichu zesunęła się z łóżka i kocim, skradającym się krokiem skierowała ku krzesłu, na którym leżało ubranie Bąbla... Szybko pochyliła marynarkę i zaczęła przeglądać kieszenie. Nic w nich jednak nie znalazła oprócz bibulek do papierosów i książeczki czekowej... Podrażnił ją tylko zapach, jakim marynarka była przesiąknięta.

— On się sam nie naperfumował tak...

Spojrzenie Franki padło na leżący na stole nocnym portfel... A może tam coś znajdzie... Zawahała się... Nie przeprowadzała ona dotychczas nigdy podobnych rewizji i lękała się, że mąż może się obudzić... Ale ciekawość, chęć dowiedzenia się zwyciężyła... jak złodziej ściągnęła portfel ze stolika... Od razu uderzyła ją w twarz ta sama woń, którą Antoś przyniósł ze sobą do domu... To pachniała tak wąska, wydłużona koperla, zaadresowana kobiecym piśmem... Zaśmukło się w Bąblowej serce... Chwy-

ciła list i w ręce ścisnęła, mnąc z wściekłością... Najchętniej byłaby od razu ten pachnący papierek zniszczyła, stargnęła w strzępy... Ale wprzód trzeba przeczytać... Światło lampki przed obrazem było zbyt słabe, kontaktu elektrycznego przekręcać nie mogła, nie chcąc budzić męża i dziecka... Musi poczekać do rana...

Na palcach, bezszelestnie prawie, powróciła do łóżka, wnosząc ze sobą wonny list...

ROZDZIAŁ VI.

— Jak Bożę kocham! — matka mnie nie pieściła!..

— Moja droga, nie wysilaj się daremnie na kłamstwa!.. Ja ci i tak nie wierzę.

— No, kiedy doprawdy, staruszk, jaki ty jesteś!.. — Stefa położyła pieszczotliwie rękę na ramieniu Chaniewskiego, ale odsunął ją zlekka od siebie.

— Musimy się rozmówić ostatecznie!.. — rzekł, zapalając papierosa, którego wyjął ze złotej papierosnicy. — Nie liczyłem nigdy na twoją wierność... Wiedziałem, czego żądam od ciebie i co mi dać możesz...

Stefie zapłonęły gniewem oczy. Byłaby zionęła gradem obelg, gdyby ją nie powstrzymywał instynktowny lęk przed tym doskonale panującym nad sobą mężczyzną, pod którego chłodnym i wytwornym obejściem czaiła się despotyczna, groźna brutalność...

Nie mogąc wyladować złości — uderzyła w ton skrzywdzonej niewinnie.

— Proszę pana! jak pan mnie traktuje!.. Jak jaką ostatnia!.. A przecie pan wszystkiemu winien... — Pan mnie skusił, namówił... Byłam niedoświadczoną, porządnią dziewczyną, pracowałam uczciwie na kawałku chleba...

Drwiałe spojrzenie Chaniewskiego zahamowało nagle potok jej słów i łez, które Stefa miała zawsze na zawołanie...

— Ei proszę pana...

— No, no tylko bez historycznych scen — bo mnie to nie wzruszy i nie oszuka... Za głupia jesteś jeszcze moja mała, żeby mnie brać na kawał.

Spojrzenie Stefki pobiegło ku brązowemu posazkowi Wenery Miłofskiej ustawionemu na konsoli, a potem przeniosło się na lysiejacą głowę mężczyzny.

— Żebyś ja tak mogła rzucić mu to w głowę!.. — pomyślała — żebyś mu tak mogła nagadać co o nim myślę, tyby mi ulżyło!..

Chaniewski odgadł mlotające dziewczynę uczucia, uśmiechnął się.

— Nie irytuj się — to zbyteczne. Nie chcę cię kępować, ale postępowanie twoje nie odpowiada moim wymaganiom... Rozstaniemy się spokojnie i bez gniewu.

Stefka błyskawicznie zrobiła przegląd sytuacji... Chaniewski zrywa z nią!.. Niechby sobie poszedł do stu dyabłów, ale co będzie z teatrem i z przyrzeczoną pomocą pieniężną.

— Proszę pana... Pan postępuje ze mną doprawdy tak, że ja nie wiem... Jestem biedną dziewczyną... Namówił mnie pan do teatru i co ja teraz?..

— Nie bój się, nie skrzywdzę cię. W teatrze pozostaniesz dopóki będziesz chciała i dopóki się czujesz skandalicznie nie skompromitujesz, a co do moich zobowiązań — proszę cię weź...

(Dalszy ciąg nastąpi).

